Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po $1^1/_2$ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

12. Kwietnia 1856. № 44. Rok trzeci.

Obrazki wiejskie.

V.

Kulig.

Kulig to zabawa,
Bigos to potrawa.

Było to w roku, już nię pomnę którym, ale to pewna, że przed rokiem 1846, kiedy w pewnej okolicy zrobiono projekt kuligu. Kulig, owa starapolska zabawa, wtedy jeszcze miała wiele powabu, bo prócz tego że zwykle bez wszelkich krępujących wesołość ceremonij się odbywała, przybranie chwilowe stroju i obyczaju tego wówczas pracowitego i niezepsutego ludu nadawało jej wiele uroku, niejeden przywdziawszy strój, w którym nasz nieśmiertelny chodził Tadeusz, krzesząc wesoło w podkówki, przypomniał sobie czasy ubiegłe.

Wieść o kuligu rozeszła się lotem błyskawicy, ubiory łatwo można było przysposobić, szło tylko o to kto się zebraniem kuligu zajmie, i gdzie ten kulig zajedzie. Jak we wszystkiem na tym padole płaczu zgody nie ma, tak też i w tem się zdania dwoiły. Powstała ztąd istna Rzeczpospolita, aż znalazł się ktoś, co używając owego znanego *specificum* przeciw wszelkim Rzeczompospolitom, ogłosił się dyktatorem, i wziąwszy że tak powiem wszystkich za łeb, zawyrokował, że kulig pojedzie do pana Narcyza.

Pani Rafałowa, nasz kuligowy dyktator, nie dziw że do niego zapragnął zajechać, bo między nami mówiąc, nasz dyktator miał dwie córki, córki gdyby lilje, urosłe w lata i miarę, a uposażone niestety tylko w cnoty i talenta. Pan Narcyz zaś był to sobie Narcyz zupełnie niepodobny do mitologicznego Narcyza, a narcyza ogrodowego przypominał chyba zwiędnieniem. Był to bowiem kawaler już podżyły, co jakto mówią lat jezusowych doczekawszy, jeszcze nie oddał serca i ręki nikomu. O serce i rękę fraszka, ale to nie fraszka że pan Narcyz miał parę wiosek, których także nikomu nie oddał.

— Ale jakże to zrobić, żeby pan Narcyz przyjął? wtrącił jeden członek parlamentu kuligowego.

— Już w tem moja głowa, odrzekł stanowczo dyktator.

Przy panu Narcyzie mieszkała siostra jego, panna Katarzyna; starsza była od niego, a więc była starą panną. Mimo to jednak powszechnie była lubioną i szanowaną; bo też prawdziwie mogła ona służyć za wzór wszystkim, które lub z własnej woli, albo zrządzeniem losu w stanie panieństwa zostały. W niej nie było nic śmiesznego, a to z prostej przyczyny, że ona nigdy nie zapomniała roku swojego urodzenia, i choć nie nosiła szafranowej chusteczki na twarzy, choć fluksyi nie cierpiała (stare panny zwykle na zęby chorować, dla tego żeby ludzie wiedzieli że jeszcze mają zęby) ale też za to nie chodziła w pożyczanych włosach, nie nosiła krótkich rękawów, i nigdy się nie gorsowała. Czepeczek z zielonemi albo niebieskiemi wstążkami, szlafroczek pod szyję zapięty, oto był zwykły jej ubiór, a już raz porzuciwszy wszelką nadzieję pojścia za mąż, nie mizdrzyła się do nikogo i oddana zatrudnieniom gospodarskim w domu swego brata, nie mściła się na ludziach za to, że jej cnót nie poznali i na koszu ją zostawili. I owszem, wiedząc że ją przeznaczenie kobiety, bycia żoną i matką, minęło, starała się to wynagrodzić czynami, pełnemi miłości bliźniego, i żaden biedny od niej nie odszedł bez wsparcia, a pielęgnowanie sierot ubogich i chorych było jej prawdziwą rozkoszą, z czego jednak nie robiła hałasu, bo co czyniła, czyniła cicho i skromnie. A przy tem, zapewnie w skutek czystego sumienia, zawsze wesoła i gościnna, lubiła się bawić i choć nie miała pretensyi do tańcu, bo już od dawna tańczyć przestała, bawił ją jednak widok tańczących i żadnej zabawy w okolicy nie opuściła. Dla tego też panna Katarzyna, jak już wspominałem, była wszędzie poważaną, a pan Narcyz, jej brat, kochał ją niezmiernie, i zwykle to czynił, co jego kochana Kasia zachciała.

Pani Rafałowa zatem do urzędu dyktatora przyłączyła potrzebną energią i strategią, której niejednemu dyktatorawi brakowało; a nie tracąc czasu na próżnych parlamentowaniach, z kopyta wzięła się do rzeczy, i przez pannę Katarzynę zbombardowała i szturmem wzięła pana Narcyza, tak że ten oświadczył, iż będzie rad kuligowi.

Dyktator wydał zatem rozkaz dzienny, w którym na dziesiątego lutego mieliśmy się w jej domu zjechać, i potem kuligiem dom pana Narcyza odwiedzić. Na dniu oznaczonym, dzięki czynności naszych pań, zebrało się nas par dwadzieścia cztery, z tych dwanaście w granatowych, dwanaście w białych karazjach. Krakowianki nasze miały niebieskie i ponsowe gorsety, suto blaszkami obszyte, i trzewiki na korkach, a my krakowiacy dla lepszego hałasu poprzypinaliśmy do butów podkówki z blaszkami, które z każdym chołupcem wydawały dźwięk jeśli nie janczarskiej to chociaż kociej muzyki.

Pani Rafałowa, która teraz godność dyktatora na urząd starościny kuligowej zamieniła, lubo matka trzech córek, dotrzymywała jak mogła placu, bo ona wybrała się na upolowanie zięcia, a któraż matka na takie *par force* polowanie nie znajdzie siły potrzebnej. Szło tedy o dobranie par. Los miał roztrzygnąć. Starościna rozdała nam karty; walety i króle wyobrażały mężczyzn, a damy kobiety. I ileż to było przytem śmiechu, a ileż szacherstwa!

Pani Rafałowa zauważała, że wszędzie, nawet w kartach, jest więcej mężczyzn jak kobiet, więc panny powinny się drożyć. Słuszna to była albo niesłuszna uwaga, niech jaki statytyk rozwiąże, nam jednak kawalerom zdawała się ona jakby *avis au lecleur*. Gdy się tak pary dobrały, nasza starościna kazała dać wina i każdy ogromnym kielichem wypił zdrowie swojej pary, poczem stanęliśmy do krakowiaka na próbę.

Śliczny też to był widok tego wieńca par naszych. Chłopcy dorodni a dziewczęta jak maliny, w malowniczem krakowskiem ubraniu wydawały się cudnie, a kiedy nasz starosta zaśpiewał przygotowaną zwrotkę, już nikt nie wątpił że kulig się uda.

Ruszyliśmy zatem wesoło i gwarno do domu pana Narcyza. Ćwierć mili mieliśmy przed sobą, już zdala widzieliśmy światła, któremi okna jego domku wiejskiego jaśniały, a do tego na słupach bramy paliły się beczki ze smołą, tak że gdyśmy w dziedziniec zajechali, zdawało się nam, że to dzień biały zaświtał, i nie myliliśmy się, bo też ta noc nikomu z nas oczów nie zmrużyła.

W obszernej sieni zebraliśmy się w pary; starosta z dużą weselną rózgą, uwitą z gałązek borówek i przystrojoną w różnobarwne wstążki, stanął na czele, za nim pierwszy i drugi drużba z ogromnym kołaczem i koszykiem, pełnym tyrolskich jabłek, dalej państwo młodzi i para za parą, aż pochód zamykał organista w piaskowej kapocie, przepasany czerwonym, włóczkowym pasem, z wysoką siwą baranią czapką i laską w srebro okutą. Naraz drzwi się otwarły, muzyka zabrzmiała i wpadliśmy wszyscy posuwistym krakowiakiem na salę, a obiegłszy w koło, starosta stanął grzed gospodarzem i jego siostrą, i zaspiewał:

Wielemożny panie i łaskawa pani!
Przyjmcie nas w swe progi, my wasi poddani,
Oto w naszej wiosce para się dobrała,
Więceśwa tu przyszli kompanija cała!

Więc przyjmijcie kołacz i weselne dary,
Nie gardźcie szczeremi swych braci ofiary,
Bo choć wy panowie innego zwyczaju,
Przecieżeśwa wszyscy dzieci tego kraju!

My na was robimy, a wy nas wspieracie,
I choć my w pałacach, a my w lichej chacie,
Możemy się kochać, jak bracia prawdziwi,
Bo nas wszystkich razem polska ziemia żywi.

Oto panna młoda, kieby kwiatek hoża,
Chociaż nie porażna, lecz piękna jak róża,
A tutaj pan młody, wysmukły jak trzcina,
Poczciwy to chłopak, ta i tęga mina!

A to pierwszy drużba, chłopak jak ułany,
Wesoły i trzeźwy i pracy oddany,
Dyć i jego drużka to jak krew i mleko,
Drugą taką znaleść, trza szukać daleko.

A to drugi drużba, czyste malowanie,
Ma się ku swej drużce, bo wciąż zerka na nie,
Niech im pan Bóg szczęści, niechby się pobrali,
Tobyćmy znów przyszli, potańczyć w tej sali.

Dalej wszystkie dziewki, jakby kwiaty polne,
I ładne i schludne, przytem nie swawolne,
A każden z chłopaków, to mi zuch nad zuchy,
Wszakże to polacy, nie żadne piecuchy

A to organista tej wioski uczony,
Poczciwe człeczysko i choć podchmielony,
Dobrze dzieci uczy, dobrze w miechy dmucha,
A jak pięknie gada, niech państwo posłucha.

Tu wystąpił organista, zażył tabaki, otarł pot z czoła i wypalił następującą oracją:

«Jak na niebie jest jedno słońce, to jest lumen, które oświeca inne konstelacje, tak ty panie w naszej wiosce jesteś tem oto słońcem, co rzucasz światło na swoich poddanych.

«Jak też na niebie jest tylko jeden księżyc, co nam „w nocy przyświeca, tak też ty pani jesteś tym księżycem, «co nasz biednych wspierasz i kiedy się nasz horyzont «zaciemni, to ty nam przyświecasz. Ale uczy nas Kopernik, «że są gwiazdy, które od innych światła pożyczają, otoż «temi gwiazdami, pożyczającemi światła, są oto ci ludzie, a «ja, jako bakałarz i organista tej parafii, jestem gwiazdą «ową, co światła udziela.

«Ponieważ zatem słońce i księżyc państwo łaskawi «przedstawiacie, pozwólcież i mnie, niegodnej gwiazdzie, złożyć wam moją czołobitność i życzenia, a szczególniej tobie panie, bo chociaż jesteś piękną latoroślą genealogicznego drzewa twojego domu, przecież ta latorośl, chociaż obfita w kwiaty, nie wyda owocu póty, póki nie znajdzie sobie jakiej drugiej latorośli, na którą rozgałęzienie «tego drzewa zdać będzie mogła. Spodziewam się ergo «tedy, że widok tej dzisiejszej pary doda ci panie potrzebnego animuszu i że w krótce ja niegodny sługa będę «mógł sobie zaspiewać:

Hosanna, Hosanna na wysokości,
Bo sprawił mundi Salvator,
Że nasz pan dobry, dziedzic tej włości,
Kazał mi zagrać *Veni creator. Dixi.*

Gospodarz, odebrawszy weselne dary, kielichem, w którym o mało cała butelka się nie mieściła, wypił w ręce starosty zdrowie państwa młodych. Gdy kolej obeszła, starosta wzniósł także podobnym kielichem zdrowie gospodarstwa, i na tem skończyły się obrzędy kuligowe. Starosta oddał sprowadzenie tańców, dziś fortenzerstwem zwane, pierwszemu drużbie, bo też i starosta już nie był pierwszej młodości, a naszej biednej starościnie krakowiak dał się tak we znaki, że rada nie rada musiała wyrzec się mazura, do którego krakowiacy, mając jak to mówią po pół butelki w każdej nodze, ochoczo stanęli.

Mazur trwał blisko dwie godziny. Ale że między zaproszonemi było kilku młodzieży, co niechcąc przywdziać krakowskiej sukmany, we frakach wystąpili, śmieszne było widzieć, jak owe kuse podcięte diablęta wydawały się między nami. Nazwaliśmy ich intruzami, ale przez grzeczność, a może i przez co innego, nasze hoże krakowianki wybierały ich w figurach, więc i oni mieli udział w zabawie. Najzabawniejszymi jednak byli pan William, i drugi niejaki p. Owczarski, a ponieważ byli najzabawniejszymi, przeto ich warto opisać.

Już to nie ubliżając bynajmniej demokracyi naszej szlachty, przyznać należy, że ona ma jednak słabość do tytułów, a gdy zjedzie się z księciem, hrabią albo przynajmniej baronem, to jakoś przecie jej milej. Każda oko-

lica w Galicyi, tej obfitej w popularnych krainie, ma zwykle takiego Williama, co to niby popularny, żyje i brata się ze szlachtą. Często popularność ta pochodzi z tego że panicz albo nieodziedziczył wielkiego majątku, lub też go już puścił *ad patres*, w wyższych zatem towarzystwach mu być jakoś nie można, bo na to trzeba jechać najmniej do stolicy, a ta potrzebuje pieniędzy, o które dziś nawet i jemu nie łatwo, woli zatem się zniżyć z potrzeby i rzucić się w kółko, w którem na mocy swego tytułu zawsze jest pierwszym, gdy w innych, tym samym tytułem i zasługami uprzywilejowanych towarzystwach, mógłby być ostatnim. Otóż podobny reprezentant lordów wszedłszy między szlachtę, jest ciągle przedmiotem jej uszanowania, a chociaż szlachta drwi między sobą z niego i szepta «*Kat tam po tytule, kiedy nie ma nic w szkatule*» to jednak pan Earl tego nie słyszy i przyjmuje łaskawie hołdy jakie mu oddają.

Pan William co zaszczycił dom Narcyza, pochodził ze starożytnej rodziny. Jego przodkowie, ba nawet ojciec rodzony nie szczędził fortuny i życia dla sprawy krajowej; ale co do niego, o takie lekceważenie największych darów opatrzności, jakiemi są pieniądze i zdrowie, nikt go posądzić nie może. Wprawdzie traci on oboje, ale broń boże, nie dla dobra ogólnego. Polowania, karty, volbluty angielskie, strzelby i psy zagraniczne, oto cel jego życia, oto wieniec zasługi, do którego dąży; wszystko co poczciwe, swojskie, zdaje mu się nieznośnem, a nawet jeśli kiedy jaką książkę kupi, to pewnie to będzie romans francuski.

Niestety podobnych ludzi mamy aż do zbytku. Niczem niepoprawieni, przesuwają się oni po naszej widowni bez zostawienia po sobie żadnej pamiątki i do nich można zastosować wiersz naszego nieśmiertelnego wieszcza:

«Nikt nie znał jego bytu, nieznał jego zguby,
«To samoluby.»

To też za takim paniczem, kiedy tam czasem przecie z jakiego folbluta kark skręci, chyba jaki wyżeł angielski albo jaki ekonom co go już kraść nie może, zawyje!

Nie dziw zatem że nasz William nudził się nieznośnie u pana Narcyza, bo gdzież tu ani kontredansa, ani diabełka, ani regalia cygarów, ani szampana nie było, a co gorsza ten ubior krakowski przejmował go zgrozą z dwóch przyczyn; bo najprzód było ubior nie angielski, powtóre przebrać się po chłopsku, było w oczach jego nie do darowania. Ale że p. William potrzebował pieniędzy a wiedział że p. Narcyz czasem pożyczył na uczciwy procent, przeto rad nie rad przyjechał, bo myślał tym dowodem łaski pańskiej utorować i sobie drogę do serca i szkatułki szlachcica, co mu tem więcej było potrzebnem, bo już żydy w okolicy nawet na 4% na miesiąc dawać się wzbraniały. Chodził tedy nasz William z rękami za kamizelkę założonemi, jakby z krzyża zdjęty, od szlachty stronił bo tej nie lubił, i ta go nudziła, aż przecie przysunął się do kobiet i tam nudno głupiemi dopciwkami starał się je bawić, lub też wyciągać za słówka, aby miał potem z czego drwić między sobie podobnymi.

— Ach panie przejeżdżały przez moją wieś, rzekł do panien chorążanek, gdybym był wiedział, byłbym kazał dół wykopać żeby panie tam zapadły, wtedy musiałybyście panie zdać się na moją dyskrecją.

Niewiem czy chorążanki wzięły to za dobrą monetę, bo nie wiem czy wiedziały że u nas doły na wilki ale nie na panny się kopią, ale to wiem że w podobnym guście były wszystkie jego koncepta. Ale dosyć już o Williamie, wróćmy do pana Owczarskiego.

Pan Owczarski był rodzonym synem swojego ojca, pana Owczarskiego, który do tej okolicy przybył gdzieś z Wołynia i wziąwszy dzierzawę, robił dobre interesa na chodowaniu owiec, które mu się też wiodły niepospolicie i których część z Wołynia przyprowadził. Cała okolica zazdrościła mu, jakto zwykle bywa, tego powodzenia, bo zresztą był to człowiek zupełnie prosty, ograniczony i bez żadnego wychowania, ale miał pieniądze które umiał podwajać, więc go też wszyscy znosili w sąsiedztwie jako tako, aż nakoniec nieszczęśliwa mania dochodzenia doszła następującej biografii pana Owczarskiego. (D. n.)

Przemytnik.

Dokończenie.

Lecz my niemieliśmy czasu spoglądać za siebie, bo wraz z strzałem ozwał się jęk. Tuż przy nogach moich padł pisarz jakby piorunem rażony. Przyskoczyliśmy do niego; kilka tylko kropli krwi wyskoczyło przy piersi na wierzch sukni; wielkie skrzywienie chwilowego bolu znać było na jego twarzy już nieruchomej. W samo serce musiał być trafiony; biedny młodzieniec już nie żył.

— Nie żyje! krzyknął strażnik rzucając się na trupa brata.

Na ten krzyk nagle... dziś jeszcze gdy sobie to przypomnę, włosy mi wstają na głowie, nagle odpowiedział drugi krzyk przeraźliwy. Był to krzyk kobiecy. I za krzaku samotnego, o którym już wspominałem, iż mi się w nim coś majaczyć zdawało, wyskoczyła postać kobiety. Pędem przyleciała do nas, i jeszcze raz wydała krzyk przeraźliwy, nieludzki, padła jakby nieżywa na trupa, chwytając go w pół konwulsyjnem rąk ściśnieniem. Poznaliśmy piękną żydówkę, wnuczkę białego żyda. Cudownie i okropnie razem była piękna. Pobladła straszliwie i pobielała, tak że przy swej nieruchomości do posągu prawie była podobna, a oczy rozpaczliwie rozwarte, błyskały dzikim ogniem obłąkania. Była to scena przerażająca. Brat klęczał przy nim, i mimo siły męskiej, płakał jak kobieta, płakał jak dziecko; my drudzy staliśmy nachyleni, szczery żal za młodzieńcem, którego tylko co w pełnem widzieliśmy życiu, ścisnął nam serca.

— Ach ja to wiedziała! ja to przeczuwała, zakrzyczała biedna żydóweczka jęczącym głosem i piękną swą twarz przycisnęła do twarzy nieruchomej. Ona całowała trupa kochanka, z całą namiętnością swojej krwi i z całym zapałem rozpaczy.

Zdało się że sama straciła przytomność; bo leżała na trupie nieruchomie. I dla tego bardzo długo trwało to ciężkie i bolesne milczenie, którego nikt ani słowem, ani ruchem przerwać nie śmiał. I tak wszyscy byliśmy zajęci tem okropnem zdarzeniem, żeśmy zupełnie zapomnieli o

*

powodzie naszej tam bytności. Nawet tętent zbliżających się koni, nie zdołał nas obudzić z osłupienia

Byli to strażnicy, wracający z pogoni. Wracali sami, i dojeżdżając, rozpowiadali gwarnie, że i jeździec i koń musieli mieć diabła w sobie, bo każdym razem, gdy się do nich zbliżyli, wymykali się im nienaturalnym skokiem. Aż na końcu znikł nagle, jakby się w ziemi zapadł, w jednym z parowów skalistych, otaczających miasteczko, do którego żaden z ich koni wejść niechciał! Słuchaliśmy to opowiadanie uchem, ale myśl nasza była daleko. Cała sprawa przemytnika straciła dla nas wartość swoją. Czy żydówka słyszała, nie można było wiedzieć, bo ciągle leżała nieruchomie, i tylko po konwulsyjnych czasem ruchach poznać mogliśmy, że się życie w niej objawia cichem a pełnem głębokiej rozpaczy łkaniem.

Jezdcy zbliżywszy się do nas, spostrzegli dopiero całą scenę, ujrzawszy trupa dobrze im znajomego młodzieńca.

— On go zabił! zawołał jeden załamując ręce.

Na te słowa jakby galwanicznym dotknięta ruchem, młoda żydówka stanęła na nogi.

— On go zabił! powtórzyła, uderzając się w głowę, i obróciła się ku nam. Oczy jej zaiskrzyły się blaskiem tak nienaturalnym, tak dzikim i złowrogim, że mi się przypomniało spojrzenie szatańskie czarnego żyda, jakie postrzegłem przy blasku strzału pistoletowego.

— On! krzyknęła jeszcze przeraźliwiej, i zsuwając z głowy chustkę, jaką była zawinięta, jak by jej ta chustka przeszkadzała i ciężyła na głowie, obejrzała się na nas.

— Oh! wyrzekła raz jeszcze ciszej i patrzyła na nas ciągle, drząc i wzdrygając się.

— Chcecie go złapać, zawołała głośniej, tego na którego zasiedliście jak na psa,... tego, który zabił go... zabił na umyślnie. Chcecie!... ja go wam oddam w ręce! dodała po chwili.

— Ty go nam oddasz! zewołał strażnik, w którym głos obowiązku, połączony z nadzieją zemsty, przemógł rozpacz brata.

— Oddam! bo on go naumyślnie zabił. Chodźcie za mną.

I silnym a pewnym krokiem ruszyła naprzód, idąc ku miasteczku, do którego mieliśmy dobre ćwierć mili.

Strażnik zostawił obu jezdnych, by się zajęli przeniesieniem trupa do miasteczka, a sam z trzecim strażnikiem i ze mną posuwał się za idącą naprzód żydówką, która snać podsycana rozpaczliwą energią, szła tak prędko, że my mężczyźni ledwie za nią zdążyć mogliśmy. Szliśmy w zupełnem milczeniu, bo nam słów, a podobno i myśli brakowało. Zbliżyliśmy się wreszcie do miasteczka od tylnej jego strony, i weszliśmy wreszcie w najzawilszy labirynt zatyłków żydowskich domostw, stykających się z ciasnemi zaułkami. A niektóre tak był ciasne, żeśmy się ledwie przez nie przecisnąć mogli.

Ja naturalnie ani miałem pojęcia gdzie i w którem miasteczka miejscu znajdujemy się.

— Czy wiesz gdzie jesteśmy? spytałem trzeciego strażnika.

— Ja tu lat kilka mieszkam, a nie mogę się połapać, odrzekł strażnik ruszając ramionami.

Nagle na zakręcie jednego z najciasniejszych zaułków którym zdało nam się że nazad wracamy, stanęliśmy przy małej furtce, przez którą weszliśmy na maleńki bardzo dziedzińczyk. Strażnik który przez przezorność wziął z sobą na nocną wyprawę, małą latarniczkę, zaświecił nam, i ujrzeliśmy w koło nas dwie ściany, bez okien, żółtą posmarowane gliną. W samym rogu obu ścian były maleńkie i ciasne drzwiczki, które zbliżywszy się dopiero do nich, dostrzedz było można. Przez nie wskoczyła żydówka, przyspieszając kroku, jakby się chciała co prędzej pozbyć zobowiązania swego, i znalezliśmy się na długim, ciasnym kurytarzu. Młoda żydówka obróciła się ku nam, przykładając palec do ust. Zrozumiawszy ten znak posuwaliśmy się za nią jak można było najciszej.

Stanęła wreszcie, i widziałem wyraźnie, jak gwałtownie, konwulsyjnie prawie, pierś się jej podnosiła, czy w skutek zmęczenia, czy innych jakich miotających nią uczuć.

W ścianie koło której stanęliśmy, ledwie przy świetle latarki mogliśmy dostrzedz małe dzwiczki; tak szczelnie wrobione były w ścianę. Żydoweczka stanęła przed niemi, a na jej twarzy okropnie zmienionej, widoczna była walka!

— Zabił go! wyrzekła po cichu sama do siebie, i spojrzała na mnie wzrokiem, jak mi się zdało pełnym wyrzutu.

Podniosła rękę, skurczyła palce, i suchem ale wyraźnem pukaniem uderzyła o drzwiczki.

Pukanie to powtórzyła trzy razy, a gdy nikt na to nieozwał się, wyrzekła dwa słowa hebrajskie. My wszyscy staliśmy nieruchomi, zapierając duch w sobie.

I drzwi się otworzyły cicho, jakby sprężyną poruszoszone, i drugie podwójne drzwi stały już otworem. Weszliśmy do jakiejś niewielkiej izby, i wszyscy stanęliśmy osłupieni, nieruchomi. Przed nami stał siwy żyd, biały żyd jak go nazywano, ów Aron którego z rana poznałem. O dwa kroki od niego stała jego prawnuczka z oczami jakby w gorączce zaiskrzonemi, i palcem wyciągniętym wskazywała starego dziada swego.

— To on! wyrzekła głosem wyraźnym choć drzącym; widząc nasze osłupienie i nieruchomość, dodała żywiej jeszcze.

— To on go zabił.. zabił naumyślnie, bo wiedział że ja go kocham, że dla niego zostanę chrześcianką.

— Co panowie chcecie odemnie? zapytał biały żyd ze zwykłą powagą i spokojem, jakby nawet niesłyszał słów prawnuczki, oskarzających go.

Obaj strażnicy niewiedzieli co robić, co powiedzieć, tak im to się wszystko wydawało nieprawdopodobnem, i tem nieprawdopodobniejszem, im więcej przyzwyczajeni byli szanować białego żyda. I on miał być tym czarnym żydem?

— Biedna! jej się w głowie przewróciło? ozwał się jeden strażnik.

— Z rozpaczy oszalała, powiedział drugi! ona tak kochała mego brata.

— Kochałam, powtórzyła i stojąc ciągle na miejscu z palcem wytężonym na siwego żyda, dodała:

— Zabił go naumyślnie! bo chciałam zostać chrześcianką.

— Ty już nią jesteś w tej chwili przeklęta! zakrzyknął biały żyd! gdy śmiesz twego pradziada i ojca twego dziada oskarżać! I rzucał na nią wzrok okropny swym zjadliwym wyrazem.

Ja dotąd sam niewiedziałem co myślić o tej całej scenie, przerażającej swoją okropnością, ale gdy dostrzegłem ten wzrok okropny, tak żywo przypomniało mi się złowrogie czarnego żyda spojrzenie, iż zaczynałem się wahać w zdaniu mojem o zupełnej białego żyda niewinności.

— Ja oskarżam zabójcę mego kochanka, który nic przeciw tobie nie zawinił. A tyś właśnie jego zabił, mówiła żydówka głosem powolnym, jakby wymierzonym.

— Ja nie jestem chrześcianką; mówiła dalej. Ja jestem zawsze twojej wiary, ale nasza wiara powiada: oko za oko, ząb za ząb, życie za życie!

— Niewiem o co rzecz idzie! mówił znowu siwy żyd do nas najspokojniej; ale widać że się jej pomieszało w głowie; mój wnuk jest chirurgiem, pozwolicie że go zawołam.

I szedł ku drzwiom, przez które rano weszliśmy.

— Zatrzymajcie go! krzyknęła żydówka, on go zabił, on jest czarny żyd! on was tumanił lat tyle, malując się jakąś czarną farbą. On chodził i jeździł, wymykając się tą szafą, podczas gdy wy myśleli, że on tu siedzi nad modliwą i talmudem. Ja nie szalona! ja nie warjatka.

Tu! dodała w tej szafie jest sprężyna. Tam w dole piwnica na kontrabandę i stajnia. Widzicie ją! krzyknęła przeraźliwie, wskazując małą w głębi szafy żelazną zasuwkę.

To rzekłszy z najwyższem natężeniem, padła jak nieżywa.

Po pierwszych słowach, siwy żyd, na którego twarzy zupełnie zmienionej, wystąpiły ślady najokropniejszych namiętności, skoczył ku stolikowi, na którym leżał nóż, i porwał go w drżące ręce, lecz jeden ze strażników zatrzymał go. Gdy ujrzał prawnukę, leżącą na ziemi, wypadł mu nóż z ręki, i jęknął przeraźliwie! Wyrwał się z rąk trzymających, i skoczył do leżącej dziewczyny.

— Ja jednę kochałem! zawołał wyrywając z głowy i brody siwe włosy swoje.

Okropna była to scena. Rzućmy na nią zasłonę, bo i cóż więcej mam powiedzieć?.. Biały czy czarny żyd nie uszedł zasłużonej kary. Ładna jego prawnuczka wpadła w gorączkę nerwową i umarła.

A pan Teofil kiwając głową, popijał herbatę i powtarzał sentencjonalnie, widząc wzruszenie moje.

— Ktoby się tego spodziewał!... I nie mówił ja że najlepiej za piecem siedzieć! Ot głupstwo panie! może ci dodać jeszcze araku?....

Znajome echo.

Niegdyś, niegdyś o tej porze,
Przedświtowy promień złoty
I wstające z za gór zorze
Nie widziały łez tęsknoty!

Życież było! orle życie!
W noc do ranka brzmiały spiewki,
A tam capstrzyk, i o świcie
Już szumiały chorągiewki.

Już tętniły, rżały konie,
Na szabelkach zorza grała,
I jak w ogniu dusza cała
Wrzała bojem, piekło-ż w dłonie!

A duch, niby sokół młody,
Wciąż do lotu skrzydła wznosił,
Niby sokół żeru prosił:
Krwi a bitwy, a swobody.

Czekaj, czekaj, mój sokole!
Czarnobrewka stawi sidła,
Oddasz wolę za niewolę,
Rusą kosą zwiążą skrzydła.

Burza wionie i rozwieje
Chorągiewek tęczę jasną,
A w samotnej celi zgasną
Sny, marzenia i nadzieje.

I zdaleka, gdzieś z za morza
Jękniesz pieśnią żurawianą:
Że dnie lepsze nie nastaną,
Nie rozświta druga zorza.

Ale wówczas nie to było!
Na paproci kwitły kwiaty,
Serce biło, och, tęskniło,
Chciało prysnąć z pod rabaty;

Chciało stopnieć w szabel błyskach,
Pieśń poemat w czyny wcielić...
Potem... potem, o, w uściskach
Płonąć, spłonąć i — spopielеć!

Nie trza było słów w rozmowie,
Nie trza było głosu w spiewie,
Oko oku jakoś powie...
Wyspowiada — jak? — dziś niewie.

Prawda, — serce było młodsze,
I dziś — nie to, co przed laty:
Po upałach więdną kwiaty,
Toż majowy miód najsłodszy.

Dziwneż, dziwne były chwile!
Jakoś było jaśniej, kwietniej...
Dziwna! blasków i tęcz tyle
Z jednej kropli rosy letnej!..

Świat grał pieśnią pełną tonów,
Jak powietrznych harf muzyka,
Od rannego hymnu dzwonów,
Do wieczornych dum słowika.

W uroczystym chórze głosów
Czarnobrewki głos pieszczony,
Nad słowiki i nad dzwony,
Brzmiał mi z fali, z pól, z niebiosów!

Brzmiał mi w kwiatów, w kłosów szumie,
W melodyjnem fal szemraniu,
W zabłąkanej w stepach dumie,
W szumie lasów na świtaniu.

Brzmiał mi we śnie i na jawie,
Z każdem echem, z każdej strony,
Że dziś smutny i stęskniony
Słucham... dzisiaj słyszę prawie...

H. J.

Fregata *Labrador*, przy południowych brzegach Krymu 11. Czerwca 1855.

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Zadaniem pism czasowych jest dawać publiczności rezultata ścisłych nauk w słowach i formach dla niej przystępnych, lekkich i od razu zrozumiałych. Któż zaprzeczy temu, ile w powieści, lub w potocznym szkicu można umieścić prawd filozoficznych, historycznych lub społecznych, które wyłuszczone w suchej rozprawie nie miałyby czytelników. Pisma czasowa powinny być owym fermentem w oświacie narodowej, powinny przy sposobności rzucać słowa i zdania, budzące w świecie umysłowym życie i walkę, a nie podawać całych, gotowych systematów, które mogą być treścią ksiąg kilkotomowych. Literatura perjodyczna ma mieć broń lekką, jako przednia straż oświaty, ona biwakuje, gawędzi i spiewa, stacza utarczki i śledzi ruchy stojącego przed nią obozu, ale walna bitwa nie do niej należy. Czyż słuszna żądać od niej, aby opuszczając to stanowisko, wróciła w ciężkie, sciśnięte szeregi?

Słyszeliśmy nie dawno głos ze Lwowa, utęskujący na tutejszą publiczność, że rozchwytuje płody lekkiej literatury, podczas gdy prace ścisłych nauk leżą dotąd w kompletnych nakładach po księgarniach, lub że im brak prenumeratorów. Raczy zważyć nasz pedagag narodowy, że ta sama publiczność, dla której niegdyś Kraszewski pisywał takie powiastki, jak »Całe życie biedna« lub »Historia o bladej dziewczynie z pod Ostrej bramy« rozchwytuje dzisiaj dzieła najpoważniejszej treści, gdy w nich widzi talent i naukę.

Tyle o literaturze perjodycznej. Może się wydawać żem zboczył od przedmiotu, ale tak nie jest. Najprzód chciałem kilka słów powiedzieć na zarzuty, czynione literaturze perjodycznej, że jest lekką i pobieżną, bo ganić, aby ganić co raz więcej w modę dzisiaj wchodzi, powtóre kreśląc autorską postać Syrokomli, przychodzimy na własne jego zeznanie, że pisma perjodyczne obudziły w nim chęć pisania, i wykształciły go na pisarza.

Było to od roku 1840—41. Cała ówczesna literatura wcieliła się w pisma perjodyczne. Walczono, dysputowano, a czytająca młodzież wprawiała się tym sposobem do zdań własnych, tą walką mimowolnie wywołanych. Kupiono się w kółka literackie, a każdy nowy numer pisma perjodycznego był dostatecznym powodem walnego zebrania się. I Syrokomla uczuł to wtedy ten wpływ literatury perjodycznej, a nadając, swojem zdaniem, dyktaturę »Tygodnikowi« wyznaje sam, że ruch ten pochodzący od pism czasowych, zdolny był zelektryzować do wejścia w szranki. Lecz dotąd jeszcze S. nic nie pisał. Żył on życiem uczuciowem i koleżeńskiem, a chociaż to go całego pożerało, stało się jednak na później nieprzebranym materjałem do prac jego następnych. Kto w życiu swojem nie miał młodości, kto nie miał dni szału i zapału, kto nie żył choć chwilę dla innych, dla jakieś wyższej, chociaż szalonej idei, tego skarby równać się będą z spleśniałym skarbem lichwiarza, z których ludzie pożytku nie mają. W tych to poetycznych dniach życia, począł Syrokomla z okoliczności pisywać »wierszydła.«

R. 1844 ożenił się i osiadł na wsi. W tym czasie napisał »Pocztyliona,« (Aten. 1844) który był jego pierwszym drukowanym utworem. Od r. 1846 wszedł stale w koło literackie.

Uszczęśliwiony trojgiem dzieci ojciec, osierociał nagle, smutny i spłakany przeniósł się do miasta. Tutaj pracował nad »Dziejami literatury,« a praca ta wraz z gorzką myślą sieroctwa, nadwątliły zdrowie jego. Mimo nakazu lekarzy nie mógł jednak próżnować poeta, w tym czasie napisał «Margiera« i »Kęs chleba.« Autorstwo bowiem uważał za święty obowiązek swego powołania, poezją za potrzebę serca.

Pod tym względem różni się Syrokomla od wielu innych naszych pisarzy, którzy autorstwo uważają za sztukę szermierczą, lub za środek do dostąpienia świetności światowych. Patrząc z dala na to ugrupowanie się naszych pisarzy, widzimy jak dziwnie uporządkował się ich zastęp. W półkole od wschodu, jakby słupy graniczne poczynającej się polskiej oświaty, stanęli: Kraszewski, Syrokomla, Pług, Padalica i Nowosielski. Są to ochotnicy przedniej straży, walczą z prawdziwym entuzjazmem, czystem sercem, według prostych swoich przekonań, toż to pisarze z duszy i z serca. Dla nich nie ma obozów ani drobnej zawiści, każdego młodego pracownika witają z radością, bo wiedzą że i spóźniony pracownik w winnicy Pana pracować może. To toż cały naród pokochał ich, i wymawia ich imiona z prawdziwą dumą i rozkoszą i dopytuje się ciekawie o ich postać, o koleje ich życia. Z zachwyceniem słucha opowiadań swoich ulubieńców, i jak kochanka pragnie mieć ich wizerunki. Im więcej na zachód, tem więcej przybiera literatura charakter polemiczny, szermierczy, częstokroć nie szlachetny. Walczy tu osobiście brudna zawiść, a publiczność miasto pokarmu, nabiera w siebie odrazę czytania, a piszących wyobraża sobie w postaciach korsarzy lub bandytów.

Prócz Korzeniowskiego nie ma Warszawa pisarzy, którzyby dla narodu nieprzerwanie pracowali, a gdy zamilknie, będzie w niej głucho i pusto. Nie ubliżamy przeto uczonym znakomitościom, bo mówimy tylko o takich pisarzach, którzy z publicznością w bezpośredniej są styczności, i na jej podniesienie przeważny wpływ wywierają.

Takim pisarzem wystąpił od razu Władysław Syrokomla. W przeciągu kilku lat stanął tak wysoko, że dziwić się należy,jakim sposobem mógł ten człowiek od razu wystąpić ukończonym autorem. Gdzież są lata jego próby i wprawy? Jak się kształcił, jak postępywał, na to w pismach jego

nie ma dokumentów. Począł swój zawód jako pisarz wytrawny, a na czem skończy, tego dzisiaj wiedzieć nie można.

Dziwne to zjawienie się wytrawnego pisarza tem tylko wytłumaczyć można, że Syrokomla nie zaczął od wierszyków ani od balad, ale zaczął od pracy sumiennej i użytecznej, od studjowania i napisania dziejów literatury, od przekładów łacińskich naszych klasyków, a wyposażywszy umysł w wiedzę i naukę, i zaprawiwszy się do języka, w tej samej szkole, w jakiej go niegdyś obrabiano, to jest na łacinie, chwycił za lutnię i śpiewa nam z niemniejszą swobodą o dawnych rycerskich czasach, jak i na nutę tkliwą, sercową, w której wieje świeża woń wiosny i kwiatów. Niech on będzie nam przykładem, że nauka i praca nie tylko że poezyi nie tłumi, ale owszem jest dzisiaj koniecznym dla niej pokarmem. Odsłoniwszy nieco czytelnikom postać pisarza, przejdziemy do dzieł jego. C. d. n.

Rozmaitość.

* **Czuły aniołek.** Młody jeden człowiek przyszedł do przyjaciela swego, i z najwyższym zapałem rozpaczy błagał go o pożyczkę pieniężną, aby mógł narzeczonej swojej, której urodziny właśnie następują, zrobić jakiś podarunek. Skończył nareszcie groźbą że się powiesi lub utopi jeżeli nie będzie mógł darować co ślicznemu aniołkowi swemu. Przyjaciel wysłuchawszy, poszedł z najzimniejszą krwią do bióra, i wyciągnął z niego paczkę papierów.

— Pieniędzy dać cię niemogę, rzekł do niego, ale dam ci prezent wielkiej dla ciebie wartości.

Zrozpaczony kochanek otworzył paczkę, i jakież było jego przerażenie, gdy ujrzał w niej listy swego ślicznego aniołka, nader miłośne i wyraziste, do przyjaciela pisane. Naturalnie że nietylko się nie utopił lub powiesił, ale na zawsze ukochanego aniołka odstąpił.

* **Tajemnicze zdarzenie.** Jest w Paryżu cicha i spokojna część miasta, wyspą ś. Ludwika zwana, nawiasem powiedziawszy ta sama w której stoi *hotel Lambert*, zamieszkany przez Xcia Adama Czartoryjskiego. W tej właśnie części miasta było stare domostwo, siedziba niegdyś zamożnej rodziny hrabiowskiej, które nabył jakiś kupiec, i odnajął niejakiemu Bernardowi, który po krótkim pobycie oddalił się, oddawszy służącemu nadzór nad starym domem. Służący ten wiódł życie ciche, spokojne i odosobnione. Znano go pod nazwiskiem *le vieux Antoine* (stary Antoni). Do domu nikogo nie wpuszczał, sam robił wszystkie domowe sprawunki, i tylko praczka przychodziła do niego. Wszakże i tej nie wpuszczał do środka, przyjmował tylko w pomieszkaniu odźwiernego, które przy samej bramie zajmował. Sąsiedzi co to wszystko uważają, niewidząc starego przez dni kilka, aby wychodził robić sprawunki swoje, donieśli o tem do policyi. Strażnik policyjny przyszedłszy, nadaremnie pukał do bramy. Cicho i głucho było w starem domostwie. Gdy nareszcie bramę rozbito, znaleziono starego burgrabiego w jego pomieszkaniu, leżącego na ziemi. Nie żył już, uderzony jak się zdawało apoplexją. Wypadało robić dalsze poszukiwania, tem więcej że od dawna cisza i samotność niezamieszkałego domostwa zwracały powszechną uwagę. Długi czas nadaremne były wszelkie poszukiwania. W całym domu było pusto; pokoje wszystkie źle były meblowane; wszędzie panowało zaniedbanie. Aż nareszcie na końcu długiego i ciemnego kurytarza znaleziono żelazne drzwi, dobrze zamknięte. Rozbito drzwi, i w ciemnym, nakształt piwnicy sklepionym pokoju, z niemałem przerażeniem znaleziono trupa w kącie. Była to kobieta, mająca około lat 30. Nie musiała zbyt dawno umrzeć, bo nie było jeszcze śladu zepsucia. Suknie na niej były już pogniłe, a twarz i ciało nadzwyczaj wysuszone. Komisarz policyi, wziąwszy się do ściślejszego w pokoju przeglądu, znalazł w biórku mały pulares, a w nim stary pomięty już list. Przeczytawszy go, zbladł komisarz, i kazawszy wszystkim wyjść z domostwa, kazał co prędzej dom osadzić, by się nikt zbliżał, i posłał do prefektury policyi z doniesieniem. Wkrótce pojawił się wyższy urzędnik z mnóstwem agentów policyjnych. Dom cały został zamknięty, i tylko bliscy wyszpiegowali sąsiedzi jak w nocy wyjeżdżał z bramy wóz pogrzebowy. Całe to zdarzenie pokryte dotąd nieodgadnioną tajemnicą.

* **Niebezpieczny skarb.** Na ciasnej ulicy w małym domku, mieszkał starozakonny Mojżesz Hirsz, utrzymujący się z drobnej szacherki. Pewnego poranku zrywa się z łożka i tańcząc po pokoju, opowiada żonie, że mu się śniło, jakoby skarb znalazł w własnym pokoju. Żona złajała go, ale pan Mojżesz mimo to, zamiast pójść szachrować na miasto, wziął się do świdrowania ścian. Pukał na wszystkie strony, porobił dziur w ścianach co nie miara, aż nareszcie zdało się mu że ściana w jednem miejscu jakoś głucho odpowiada. Prześwidrował tedy dziurę i włożywszy rękę natrafił na pokład drewniany, a gdy i ten prześwidrował, wydobył kilka łyżek, łyżeczek i grabków srebrnych. Wielka była radość w domu, a że nadszedł wieczór, dalsze poszukiwania zostawiono na dzień następny. Tymczasem wpada policja, zarzucając biednemu Hirszowi, że za pomocą włamania się ukradł sąsiadowi srebro. Rzeczywiście tak było, że srebro to należało do sąsiada i spoczywało spokojnie w drewnianej przy szafie ścianie. Biedny Hirsz i skarbu nie dostał, i w niemały wpadł kałabałyk. Wierzże to snom!..

* **Listy Napoleona I.** W Paryżu jest cała komisja tem zajęta, aby zbierać wszystkie listy wielkiego Napoleona. Mnóstwo tych listów znalazło się tak po ministerjach rozmaitych, jak i po prywatnych. Powiadają, że liczba tych listów do 4000 dochodzi. Niedługo też zbiór ten ma być drukiem ogłoszony.

* **Rossini** jak wiadomo lubił wiele i dobrze jeść. Razu jednego zaprosiła go jedna pani na obiad, u której wielka w jedzeniu panowała oszczędność. Rossini myślał że się obiad zaczął wówczas, gdy już było po wszystkiem. Nie było na to rady; muzyk musiał to przyjąć za dobrą monetę, ale nie mógł przecie wytrzymać, aby się nie odwetować. Gdy więc ta pani przy pożegnaniu rzekła do niego:

— Spodziewam się, że mi pan ten zaszczyt zrobisz i znowu obiadować ze mną będziesz.

— Choćby i zaraz! odpowiedział Rossini, jeżeli się pani podoba!...

* **Siewnik z nawozem płynnym.** Rolnictwo w Anglii coraz nowe robi postępy i coraz bardziej przyswaja sobie wypadki badań naukowych, szczególniej chemii i mechaniki. Nowy tego dowód podaje na ostatni numer *Dziennika praktycznego Rolnictwa*, donosząc o wynalazku siewnika z nawozem płynnym, którego rolnicy angielscy z wielką już korzyścią używają, mianowicie do roślin okopowych. Szkoda że nowe to narzędzie nie znajdowało się na wystawie w Paryżu, znakomitą wyświadczyłoby usługę gospodarzom europejskim, gdyż pozwala sadzić i siać z wielką nadzieją dobrego wejścia, mimo posuchy, a prócz tego daje plony obfitsze, jak po siewnikach zwyczajnych, przy użyciu w obu razach równej ilości mierzwy sproszkowanej. Siewnik ten, wynalazku Chandlera, wydziela nawóz rozwiedziony pewną ilością wody, gdy inne siewniki rozsypują mierzwę w proszku.

Nowiny lwowskie.

* Powieść *Rodzina Konfederatów*, z której przerobiony wyjątek, pod tytułem: *Krwawe znamię*, umieszczony w dodatku do Czasu dał powód do reklamacyi, wyjdzie wkrótce z drukarni Zakładu Ossolińskich.

* Autor Melodyi *hebrajskich*, Kornel Ujejski, napisał obszerniejszy wiersz ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza. Poda on go w krótce do druku a dochód z sprzedaży poematu przeznaczyć zamyśla na fundusz sierot pozostałych.

* Zygmunt Kaczkowski, bawiący obecnie w Sanockiem, napisał powieść z życia ludu naszego, pod tytułem: *Stach z Kępy*, której druk rozpoczął się w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*, (dawniejszy *Dziennik warszawski*). Z nowej strony, okazuje się w tej powieści niewyczerpany talent powieściarza. Z równym talentem, jak dawniej czasy konfederacyi, jak życie obecne szlachty, maluje życie ludu polskiego z nad Sanu. Teraz pisze powieść: *Czasy zepsucia*, która pojawi się w *Gazecie codziennej*.

Przyjechali od dnia 9. do 11. Kwietnia do Lwowa.

PP. Jan Wiktor z Brzeżan. Konstanty Dobek z Sarnek. Alexander Hoszowski z Brzeżan. Władysław Zawadzki z Jezierny. Ignacy Krzeczunowicz z Jaryczowa. Napoleon Niezabitowski z Żółkwi. Szymon Ośmiałowski z Jaryczowa. Mikołaj Zadurowicz z Stanisławowa. Ignacy Uniszowski z Hnizdyczowa. Napoleon Obniński z Koszarek. Konstanty Morawski z Pohorzec. Bolesław Komarnicki z Komarna. Tadeusz Zatorski z Załuża. Leon Rzewuski z Krakowa. Alojzy Bocheński z Ottynowic. Konstanty Perret z Janowa. Jan Schneider z Derewacza.

PP. Józef Jasiński z Tulukowa. Ignacy Wiszniewski z Kokutkowic. Józef Witosławski z Liska. Paweł Lanc. Antoni Sarnowski z Wierzblan. Marcin Bandrowski z Rawy. Marceli Cieszewski z Woronowa. Erazm Lencewicz z Zadworza. Julian Dobrzański z Milatyna. Eustachy Hohendorff z Bar. Julian Olkiszewski z Ułazowa. Józef Szyryn z Hubina. Jakób Jakusiewicz z Kadobestie. Marcin Korosteński z Łąki. Fabian Kozaryn z Janowa. Władysław Szczepański z Wiśniowczyka. Marcin Krzeczkowski z Złoczowa. Juliusz Grocholski z Medwedowic. Ludwik Żardzicki. Fran. Korytowski z Horoszanki. Włodzimierz hr. Dzieduszycki z Brodów. Grzegorz Ziembicki z Bartoszowa. Jan Kubicki z Radomierza. Konstanty Szumlański z Kohajowa.

Wyjechali od dnia 9 do 10. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Henryk Kruszyński do Bełza. Jakób Gołaszewski do Krzywego. Rudolf Urbański do Dobrosina. Kalixt ks. Poniński do Gaj. Nereusz Hoszowski do Biłki. Henryk Malczewski do Brzeżan. Wicenty Bilański do Turza. Hr. Botterlin. Hr. Władysław Borkowski do Dembicy. Ludwik Skrzyński. Edward hr. Fredro. Henryk hr. Fredro. do Bartatowa Maciej Borowski do Hurka. Hipolit Czajkowski do Bóbrki.

PP. Bolesław hr. Borkowski do Przemyśla. Bolesław Lincbauer do Gródka, Anton Skrzyszowski do Złoczowa. Jan Morawski do Zbaraża. Fran. Korytowski do Mikuliniec. Ignacy Zawadzki do Wołoniowa. Ludwik Borowski do Krakowa. Michał Ciemierzyński do Brzozdowiec. Jan Schneider do Derewacza. Jan Torosiewicz do Połtwy. Ignacy Krzeczunowicz do Jaryczowa. Maxymilian Weidowski do Borszczowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$102\frac{1}{4}$	Pożyczka 5% . . .	$86\,{}^{1}/{}^{4}{}_{6}$
Hamburg za 100 tal. branco	$74\frac{3}{4}$	Akcye banku	1145
Londyn za 1 funt szterl.	10.5	Kolej północna . . .	3075
Medyolan za 300 lirów	$101\frac{7}{8}$	Obl. ind.	$79\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$109\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$5\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa .	$86\frac{13}{16}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	42	4	46
Dukat cesarski	4	45	4	50
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	32
Polski kurant i pięciozłotówka	1	8	1	9
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	83	—	84	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	77	45	78	15
5 proc. pożyczka narodowa	86	—	87	—
Śrebro	103	—	104	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.

Do dzisiejszego numeru dołączona jest rycina mód paryzkich.